

Krasnoludki



Fragment Bratnich Mogil w Rydze

Fot. E. Rubenis.

13) O Skrzaciku — Wędrowniczku



Wielki ruch zapanował na wielkim grodzie następnego ranka. Niewiasty, starey i dzieci zebrał się tłumnie na placu, gdzie szewc Skuba szykował jadło dla potwora. A więc najprzód rozpruł brzuch zabitego barana, wnetrżności precz wyrzucił, nasypał weń dwie miary siarki, nalał smoły gorącej a w końcu wsypał sporo rozżarzonych węgli. Zaszyl i na dany znak czterech tęgich ludzi wzięto barana za nogi wlokąc go za wały.

Skrzacik przenocowawszy w izbie u Skuby od wczesnego ranka kręcił się po placu przyglądając się ciekawie temu co się działo. Nie bał się że go spostrzegą, bo wszyscy przejećci byli smokiem i nikt nań nie zwrócił uwagi.

Zbliżywszy się do brzegu urwiska ludzie niosący barana rzucili go z rozmachem w dół przed smoczą jamę. Czekano dłuższą chwilę, ale smok nie pokazywał się, może nie był głodny, a może spał.

— Co teraz będzie szepitano w tłumie — węgle wygasną, smoła wystygnie i wszystko będzie na nic. —

I znów upłynęła chwila długa jak wieczność. Smok się nie pokazywał.

— Trzeba go z jamy wywabić — wołano — ale jak?

Tymczasem Skrzacik chcąc lepiej wszystko widzieć zeszedł niżej i ukryty za wielkim głazem spoglądał ciekawie w dół.

— Co począć, co począć! — wołano coraz głośniej.

W Skrzacika wstąpił animusz bojowy. Nie namyślając się długo zsunął się prawie tuż nad sam otwór i wydobyszy zza pasa fujarkę — zaczął grać.

— Patrzcie, patrzcie, a cóż to za śmiałek nad samą smoczą jamą siedzi i gra na fujarce — krzyczano z góry — a dyć to kruszyna maleńka, wszak samym dechem smok go zabić może. —

Skrzacik grał. Wstrętny odór wydobywający się z jaskini tamował mu oddech, palce mdlały ze zmęczenia, ale myśl, że może uda mu się wywabić smoka z ukrycia dodawała mu sił. Po chwili rozległo się głośne sapanie i potworne cielsko smoka zaczęło powoli wypęczać z jamy. Rycząc przeraźliwie bił ogonem po bokach i darł ziemię pazurami ze strasznej złości.



Ten wróbelek

Ten wróbelek to Czupurek,
straszny z niego chwiat.
Jak nastroszy kilka piórek,
myśli zaraz, że już jego
calusienki świat.
Teraz dojrzał już w ogrodzie
smaczny, czarny mak.
Więc Czupurek, zawsze w szkodzię,
na maleńkiej makóweczce
dziobkiem robi znak.
Puk! puk! puka w makóweczkę
i powiada tak:
— Daj mi maku choć troszeczkę,
bo tak lubię twój czarniutki,
drobniusienki mak!

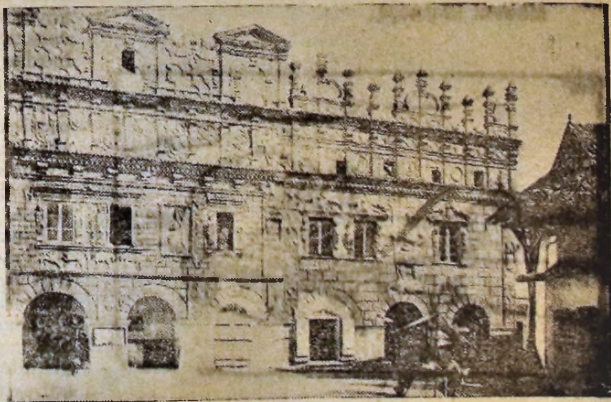
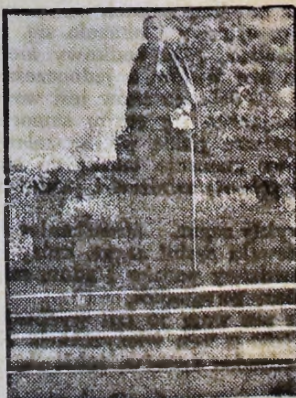
Makóweczka główkę chyli,
mówiąc: — Masz już dość!
Nie dla ciebie mnie sadzili,
Z ciebie ptaszek uprzykrzony
i natrętny gość!
Broni także grząd makowych
duży, dzielny Strach,
co go z kapot dziadusiowych
pięknie zrobił wczoraj rano
Wawrzyńcowej Stach.
Lecz Czupurek, uprzykrzony
i nieznośny ptak,
woła wróble na zagony
i tam razem wyjadają
dobry, czarny mak.

St. Ottowa

Jaskółki

— Jaskółki, jaskółki,
lube przyjaciółki,
o czym tak ćwierkacie
przy tej naszej chacie?
Czemu wasza piosnka
ma nutę żalną,
niepodobną do tej,
jaka była wiosną?
Może kot podusił
wasze małe dzieci?
Może jastrząb — zbójnik
z lasu do was leci?

Czemu tak ćwierkacie
zupełnie inaczej —
powiedźcie, jaskółki,
co to zmiana znaczy?
— Oj, nie kot, nie jastrząb
nas trwoży i smuci,
jeno mus, co każe
wioskę waszą rzucić,
porzucić tę wioskę,
kraj cały, kochany,
wędrować za morza,
na obce, hen, lany.. .



Na lewo: Bydgoszcz. Pomnik Henryka Sienkiewicza. Na prawo: W mieście „króla chłopków”. Domy na Ryнку pod św. Krzysztofem i pod św. Mikołajem z końca XVI wieku.



Któż je będzie sprzedawał?
na straganie rozstawiał?
Na to krzyknie drużyna:
— Któżby inny? Pyzina!



A w tym pięknym Lwowie,
o zielonym maju,
pachną bzy na Łyczakowie,
słowiki kłaskają.



A drogą, na wozie
jedzie pocziwina,
polska, zacna kłuska,
znajomka, Pyzina,

Jak Pyza



Brzęczą garnki, skacze
wóz po kamieniach,
Pyza patrzy w miasto
i płacze z wzruszenia.

Z bliska i

Szklane drogi. Niedawno wykonano próby z nowym materiałem na budowę szos. Materiałem tym jest wapień z dodatkiem szkła wodnego. Materiał ten został użyty na czterech szosach na niewielkiej narazie przestrzeni i okazało się, że jest bardzo trwałe, gdyż podkowy nie zostawiają na nim śladów, a jednocześnie jest gładki i nieśliski, co znów jest ważne dla powiększającego się ruchu samochodów. Ma on jeszcze jedną wielką zaletę: jest stosunkowo znacznie tańszy od stosowanych dotychczas asfaltów i jezdni betonowych.

Niezwykły zegar. Mieszkaniec Wilna K. Sobolewski zrobił zegar, który wzbudził prawdziwy podziw i zdumienie wśród tych, którzy go oglądali.

Zegar ten wagi 50 kg. wyobraża kościół gotycki o 3-ech wieżyczkach. Na oko nie zdradza dziwów, jakie się w nim odbywają.

Lech oto wybija 6 godz. wieczorem i z wież kościelnych poczynają rozbrzmiewać dzwony. O północy różlega się hejnał...
Znowu cisza.

wędrowała



Zaraz oczy wytrę,
zaraz się utulę.
Cóż, gdy na Lwów patrzę —
zawsze się rozczulę.



...na tym lyczakowskim, szerokim straganie
dzisiaj najpiękniejsze garnuszki dostaniesz.
Hej, kupcie panienki, hej, kupcie
lwowianki!
Te piękne garnuszki zowią się: pyzianki.



Pyzula zachwała, Pyzula sprzedaje,
złotóweczki liczy, garncarzom oddaje.
Tłum się wielki zebrał przy Pyzy
straganie.
bo tu najpiękniejsze garnuszki dostaniesz.



Wtem: ktoś się przez wszystkie panusie
przeciska,
— Puście mnie do Pyzy, chcę ją ujrzeć
z bliska,
sprawa to nagląca, sprawa bardzo pilna,
jeszcze dzisiaj wieczór wyjeżdżam do
Wilna!

z daleka

Dopiero o godz. 4 rano odzywiają się sygnaturki i znowu kilkogodzinna cisza. Ale gdy sygnaturka zadzwoniła na prymarie, drzwi kościelne otwierają się na oścież i z kościoła jeden po drugim wychodzą mnisi. Na ołtarzu, widocznym przez otwarte podwoje, zapalają się świece. Odzywa się dzwonek u drzwi, wiodących do zakrystii i wychodzi, stamtąd ksiądz w ornatie i staje przed ołtarzem. Zaczynają grać organy. Ksiądz odprawia mszę. Na podniesienie organy milkną, ksiądz odwraca się i błogosławi podniesioną ręką. Po skończonym nabożeństwie, ksiądz powraca do zakrystii. Zakonnicy dwoma szeregami opuszczają kościół. Zakrystian zamyka podwoje kościoła.

Ale to jeszcze nie koniec. Oto w portyku kościoła staje Marszałek Piłsudski i przyjmuje defiladę wojsk: kawaleria, piechota, artyleria, sztandary. Marszałek salutuje. Orkiestra gra. Po przemarszerowaniu całego oddziału, znikają wszystko i na podwyższeniu zostaje zwykły zegar w kształcie gotyckiego kościoła

D Z W O N

Był sobie raz kościółek cichy, wiejski, cały w zieleni drzew schowany. Przy kościółku dzwonnica stara, zmurszała, zgarbiona, a w niej między dwiema dębowymi belkami wisiał wielki, szerniały od starości dzwon.

Dziwny był ten dzwon. Stary Jacek, który już z górą trzydzieści lat przy kościele służył, dowodził, że drugiego takiego dzwonu na świecie nie ma.

— Onby i sam chyba dzwonił beze mnie — mawiał stary. — Innego trzeba się naszarpać za powróż, Bóg wie jak długo, tego tylko dotknąć za serce, już dzwoni i jak dzwoni! Śpiewa, nie dzwoni.

Jakoż nasz dzwon rzeczywiście jakby duszę miał, śpiewał, nie dzwonił. Na pogrzeb dzwonił cicho, zwolna, poważnie, a tak rzewnie i żałośnie, że nawet z traw rosa kapiała na ziemię srebrzystymi łzami. A kiedyś, jak jakąś matule chowali, co całą gromadkę sierot po sobie dudniła, to się biedny dzwon tak rozżalił i splakał, że mu aż serce pękło. Choć mu je tam jakiś z daleka sprowadzony majster zreparował, to jednak długi czas dudniał stary dzwon jakimś głuchym, nieswoim głosem, a szramę na sercu to i do dziś jeszcze trochę znać.

Inaczej bywało, kiedy przyszło dzwonić na nieszpory w jaką wiosenną niedzielę albo na rezurekcję, albo na procesję Bożego Ciała. Ciepło, słonko grzeje, kwiaty pachną dokoła, wszystko śpiewa i Pana Boga jak umie tak chwali. Jak ci nie huknie wtedy nasz dzwon, to trudno uwierzyć, że to ten sam, a nie inny dzwoni. Jakby mu ze dwieście lat wieku ubyło, jakby mu się młode lata przypomniały. Huczycy on i śpiewa wtedy z taką mocą i radością, że i ludziom dusze w górę płyną i jaskółki wyżej w niebo lecą, z owym dzwonieniem się ścigając. I tylko stara dzwonnica trzesie się ze strachu i skrzypi wszystkimi belkami. Ale któżby tam na nią uważał? Niech sobie skrzypi!

Jesienią czasem trochę ochrypl, jak go deszcze i słoty przez dziurawy dach bardzo dojeły, ale jak przysła mroźna, słoneczna, śniegiem wysłana niedziela, to płynęło dzwonienie szeroką, czystą rzeką po wszystkie świata strony, aż hen, daleko, do drugiej parafii, do sąsiedzkich dzwonnów. Dzwonowali się zawsze ludzie, skąd się w tym dzwonie taka moc ogromna bierze?

A kiedy nie dzwonił stary dzwon, to słuchał. Ogromnie granie każde lubił.

Czy ludzka piosenka, czy jaskółczy świągot, czy skowronkowe dzwonienie, czy kolysanka, co ją swemu maleństwu organiscina nuci, czy trąbka ułańska, co ją z dalekich dróg wiatr poczeiwy kiedyś przyniósł. Wszystkiemu nasz dzwon był rad, wszystko cheiwymi chwycił uszami.

Bywało — upał na świecie. Zar z nieba leci, lipa, co koło dzwonnicy rosla, umyślnie pień trochę wykrzywiła, żeby staremu słońcu nie zasłaniać. Dzwonisko śpi po nieszporach, wygrzaue pachnącym lipcowym słońcem, brzęczą mu do snu pszczoły z księżej pasieki, szumi wietrzyk w lipowej gęstwinie.

Ale niech no się w stawie żabia kapeła odezwie, albo trzciny tęskno zaszumią, albo jaskółka na oknie zaświegocze, już się mój dzwon budzi, już nie śpi, już uszu nadstawia i słucha, słucha, słucha...

A czego się przez tydzień nastucha, to przy najbliższej niedzieli na sumie w dzwonieniu wyśpiewa. I dziwuje się każdy temu dzwonieniu, bo w nim własne swoje śpiewanie odnajduje. I człowiek swoją piosenkę, i skowronek swoje dzwonienie i jaskółka swój świągot i stary, siwy bór swój szum i gwar.

Ze starym Jackiem znali się i kochali, jak dwaj najlepsi przyjaciele. Wiosną, latem i jesienią nie rozstawali się prawie, bo Jacek kął sobie na dzwonnicy założył i tylko na zimowe chłody do dusznej ciemnej chałupy powracał. Ale i zimą także nie było prawie że dnia, żeby jeden starowina do drugiego starowiny nie zajrzał.

Oprze Jacek czasami swą siwą głowę o czarny dzwon i ucho przyłożywszy do spiżu, brząkać weń pocznie lekko. Dzwon mu dziwy opowiada różne a Jacek siedzi i siedzi. Raz nawet na Anioł Pański w sygnaturkę na kościele nie zadzwonił, bo się tak zasiedział. Gorzko mu to późniejsi proboszcz wymawiał:

— Wysypia się Jacek po kątach, zamiast służyć pilnować...

A on się zaklinał, że wcale nie spał, jeno się od tego dzwonu nijak ruszyć nie mógł. Kto go tam wie?

Nikt też nie i nikt się już nigdy nie dowie, o czym to oni tak sobie opowiadali. Dzwon nie powtórzy nikomu, a Jacka

dawno już na świecie niema. Zmarło się biedocie.

Późną jesienią go chowali, w szarugę, w wichurę, w deszcz. Biedny osierociaty dzwonnicy już nie śpiewał, nie płakał, ale wyl, aż się ludzie z łękiem w stronę kościoła oglądali.

Na drugi dzień rano przyszedł do dzwonnicy Józek od organisty, żeby na prymarię zadzwonić.

Chwycił za sznur, ciągnie. Nic! Pociągnął mocniej. Nic!

Ciągnie z całej siły. Dzwon się przechylił, serce stuknęło o śpiż, ale tylko głuchy, chropawy zgrzyt dał się słyszeć.

Z krzykiem wypadł Józek na podwórze kościelne.

— Jezul Ratunku ludzied! Dzwon zanie-mówi!

Zaroilo się wnet koło dzwonnicy, zleciały się baby z lamentem i dzieciarni gromada. Organista stanął w drzwiach dzwonnicy i nikogo do środka nie puszcza. Przyszedł ksiądz proboszcz, ciężko tym wypadkiem strapiony, sprowadzili kowala, co mieszkał opodal koło drogi i poszli we trzech oglądać nieboraka. Myśleli zrazu, że pękł albo sam dzwón albo serce, ale nigdzie śladu pęknięcia, ni szczeli-ny żadnej nie było widać. Nawet ta dawna bliźna na sercu całkiem się jakoś za-tarła...

Kiwali długo głowami, stukali, pukali, radzili...

Skrzyknęli chłopów kilku a mocnych, chwycili za sznury. Dzwon się rozkołysał, ale nie zadzwonił, jeno tuktł się jak roz-bity garnek tak głucho i boleśnie, że aż coś ludzi od sznurów odepchnęło. Płacz się zrobił jeszcze większy w gromadzie, bo i jakże tu bez dzwonu być, co od tylu lat z ludźmi żył, gadał do nich i śpiewał, z nimi się cieszył i z nimi razem płakał.

Uradzono wreszcie sprowadzić z miasta jakiegoś tam majstra, który praktyk był pono wielki, bo całe życie nic innego nie robił, jeno dzwony. Przyjechał, obejrzał dzwonnicy dokoła, stukał, znów pukał, maj-strował, wreszcie ręce rozłożył i powiada:

— Ja temu dzwonnicy nic poradzić nie umiem. Na ludzki rozum jemu nic nie brakuje, pęknięcia nijakiego nigdzie nie-ma, serce zdrowe i wisi jak trzeba w po-rządku. Siła lat żyje na świecie i siła dzwonnicy przez moje ręce przeszło, ale takiej choroby u dzwonnicy jeszcze nie-widziałem. Chybaby go wziąć do miasta i przetopić?...

Okrzyknęła się na to gromada: — Co? dzwonnicy do miasta na topienie, na ponie-wierkę, na zatracenie? Nasz dzwonnicy, co

człowiekiem dzwonnicy od kołyski aż do grobu przez tyle lat? Nie może tak być. Niech wisi!

Aż huczalo w gromadzie. To i zostawili dzwonnicy w spokoju.

Smutno zrobiło się we wsi, ba, w pa-rafii całej, bo ni na sumę, ni na nieszpory nie było się komu z dzwonnicy odezwać. Na pasterkę głucho. Na Gromniczną głucho. Na Zwiastowanie głucho. Jedna tyl-ko sygnaturka z dachu kościelnego świe-goce i jak tam umie i może, dzwonnicy zastąpić się stara.

Minęła zima. Przyszły wiatry ciepłe, suszące, ze śniegiem się wzięły za bary. Choć się puszył i srożył i groźnie swoje zaspę nadstawiał, ani się biedak obejrzał, jak cały we łzach tonąc, do rzeki popły-nął i do morza.

A za nimi szło słonko złote, rześkie i krzepkie, z zimowej błednicy już wyle-zione. Szło i malowało świat precudny-mi barwami. Szach, mach pendzlem po łące i z szarej i zwiędłej równiny robi się śliczny zielony dywan w złote gwiazdki z kaczeńców. Szach, mach pendzlem po ogródku i szara grządka pokrywa się cud-ną sukienką bratków i narcyzów, fiołków i stokrotek. Szach, mach pendzlem po sta-wie i odrazu woda w nim gubi swoją brudną zimową szatę, myje się, szoruje i czyściuteńka już do słonka się śmieje i lśni wesolo. A słonko czasu nie traci i już na wodzie małe kacuszki maluje. Nóżki i dzioby na czerwono, brzuszki na żółto.

Przyszła wiosna i do biednego głuche-go dzwonnicy. Owiął go ciepły, pachnący łąką wietrzyk. Dzwonnicy nic. Zajrzały do niego przez okno młodziutki lipowe pa-czki; on nic. Siadły na helce dwie jaskół-ki, stare znajome, co od lat gniazdo na dzwonnicy miały, trajkoczą, aż głowa puchnie, on nic i nic.

Nie słyszy nic, nie czuje nic. Biedny, stary kaleka!...

Aż pewnego ranka z grządki, co ją no-wy kościelny pod dzwonnicy złożył, rozle-gło się jakieś cichusieńkie, leciuteńkie dzwonnicy. Zrazu tak cichutkie, jak brzę-czenie malej muszki nad wodą, potem tro-szkę głośniej. I jeszcze trochę głośniej. Dzwonnicy coś w powietrzu, słyhać to dzwo-nienie i koło kościoła i na plebanii, na wsi nawet, jak dobrze ucho natężyć. Ale najczyściej i najpiękniej dzwonnicy ten srebrny dzwoneczek tuż, tuż koło dzwo-nicy.

Stary dzwonnicy sam nie wie, co się z nim dzieje. Słyhać — nie słyszy, ale go coś

tak dziwnie koło serca łaskocze, że strzy-
mac nie może i pyta:

— Co to? Kto to?

— To ja, konwalia — zadzwoniło tak
silnie w powietrzu, że dzwon usłyszał.

Zakręciło się z wielkiego wzruszenia
biednemu staremu dzwonowi w głowie i
żeby nie belki, co go trzymały, byłby mo-
że runął na ziemię. Jako — on słyszy
znowu? Słyszysz? Boże miłosierny! Sły-
szysz! I netylko konwaliowe dzwoneczki.
O! w tej chwili słyszysz już doskonale, jak
Wojciechowa Krasula w oborze ryczy.

To on może i dzwonić jeszcze kiedy
będzie? I kościołowi, i swojej wsi ko-
chanej i polom i łakom, i lasom? Drżał
biedny, stary dzwon ze wzruszenia.

I tak potrochu wróciło dzwonowi zdro-
wie. Jak mu też żal było w niedzielę,
kiedy widział, że ludzie na sumę idą a
nikomu nie przyjdzie na myśl zajrzeć do
niego, zobaczyć, co się też z nim dzieje.
Tak chętnie byłby, zagarnawszy w siebie
powietrza, ile go było w dzwonnicy, huk-
nął tym ludziom na powttanie i pokrzepie-
nie sere!

Ale cóż, kiedy sam przecie bez ludz-
kiej pomocy zadzwonić nie mógł!

Dopiero jakoś w tydzień później czy
półtora zdarzyło się, że małemu Jaśkowi
kazala matka kota złapać, co się gdzieś po
wsi wałęsał, zamiast myszy pilnować. Ko-
towi nie pilno było do ciemnej komory,
więc zmykał co siły w nogach. Jasiek za
nim. Kot na płot, Jasiek na płot; kot na
jabłonkę, Jasiek na jabłonkę. Tedy, owe-
dy doszli do muru kościelnego. Kot hyc!
i już na drugiej stronie. Tylko się Jaś-
kow, mignął na dachu od dzwonnicy.

Zawził się Jasiek: — Czekaj! myś-
lisz, że cię nie dostanę?

W mig był już pod dzwonnica; po stro-
mych drabinkach wgramolił się na sam
szczyt i tu nareszcie w kącie dopadł swe-
go zbiega. Wracał na dół z kotem pod
pachą, kiedy nagle wielka żelazna klamra
spod nóg mu ze zmurzonej belki wypad-
ła, że omal obaj nie polecieli w dół.

Leci klamra, leci i beć! z wielkiego
rozmachu prosto w dzwon. Rozległ się
czysty srebrny dźwięk. Obejrzał się
proboszcz, który właśnie koło dzwoni-
cy przechodził.

— Co to? Kto tam?

Tknęło proboszcza. Wbiegł do dzwoni-

cy, ujął za linę. Ledwo pociągnął, a tu
dzwon odezwał się głęboko, poważnie,
pełnym, dawnym swoim cudownym
dźwiękiem. Tyle czasu nie śpiewał, tyle
miał do wyśpiewania!

Gruchnęło po wsi. Dzwon ożył! dzwon
ożył! Z chat powypadali ludzie. Lecą ku
kościółowi. Coraz ich więcej i więcej.

Ksiądz dzwonił i dzwonił długo, dłu-
go bez końca. Wiatr rozwiwał mu dłu-
gie siwe włosy i suszył łyzy płynące do
oczu.

Słuchali dzwonu wszyscy i ludzie i
skowronki w polu i konwalia pod dzwon-
nicą i stary siwy bór. A Jacek hen w nie-
bie ucha koł ziemi przychylił i z daleka
swego przyjaciela długo, serdecznie i ra-
dośnie pozdrowiał.

K. Konarski

L. Majewski

Już w szkole

W naszej kochanej szkole
są małe dziewczynki,
takie, jak w całym kraju:
Zosie, Marysie, Halinki...

Na pauzach grają w „dwa ognie”,
a lubią też ogromnie
skakać przez długi sznurek.
Najlepiej skacze Joanka.
Tak szybko zgina kolanka,
jakby tańczyła mazura.

Jest pani kierowniczka, co kieruje nami
i zawsze wie, co jest konieczne.

Kiedy gramy w siatkówkę
na podwórzu szkoły,
panie grają też. Wtedy jest wesoło
A potem pisze się klasówkę...

Myśl jeszcze fruwa jak w zabawie,
a tu błąd! Jeden, drugi i czwarty...

Oj, to nie żarty!

Pani to poprawi

czerwonym atramentem!

Uwaga! już zabawy nie pamiętam!

Już piszę, już jedna myśl drugą goni...

Skończone! i trrrrr... na pauzę pan

Jan dzwoni.